

Wychodzi w każdą
Sobotę.

Cena prenumeracyjna
w całej Austrii:
rocznie 8 zlr.—półrocznie
4 zlr.—kwartalnie 2 zlr.
w Niemczech:
rocznie 5 tal.—półrocznie
2 tal. 15 sgr. kwartalnie
1 tal. 8 sgr.
we Francji:
rocznie 21 fr.—półrocznie
11 fr.—kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcja: Ulica
wałowa Nr. 19.

ŚWIAT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Treść: O satyrykach polskich XVII wieku, studium literackie przez Dr. Adama Belcikowskiego. (C. d.) — W krainie sztuki, prolog alegoryczny, przez Bronisława Zawadzkiego. (Dok.) — Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez Berticzą Sasa. (C. d.) — Głębia morza i głębia powietrza, przez dr. Tomasza Staneckiego. (C. d.) — Męczennicy fantazyi, nowella z niemieckiego Ludwika Foglara. (C. d.) — Przegląd literacki, przez dr. Aleksandra Hirschberga. — Korespondencye: z Krakowa. — Przegląd teatralny, przez Bronisława Zawadzkiego. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

O satyrykach polskich XVII wieku,

studium literackie

przez

Dr. Adama Belcikowskiego.

(Ciąg dalszy.)

W jego satyrach jednakowoż nie widać bynajmniej niczyjzego i nienarodowego; owszem zna on, na wylot naturę swej współbraci szlachty, ich słabości, wady i przywary, a każda postać przez niego skreślona jest pełna naturalnej prawdy. Chcąc zaś oddać rzeczy z podobną plastycznością i tak zgodnie z rzeczywistością, potrzeba mieć zmysł i poczucie do ich zrozumienia. Dlatego policzylibyśmy Opalińskiego do rzędu często podówczas napotykanym ludzi, którzy ulegając zagranicznej cywilizacji i przeobrażając się w niejednym względzie pod jej wpływem, zachowywali mimo to grunt swego charakteru takim, jakim go utworzyła natura właściwa ich społeczeństwu. Ludzie tacy przejmowali z zagranicznych wzorów zewnętrzną ogładę, przejmowali się postępowymi pojęciami, obcymi wyobrażeniami o polityce, o formie rządu itp., ale w swych zwyczajach, w usposobieniu moralnem, w życiu powszednim pozostawali niezmienni i ztąd ich postęпки, ich sposób życia w rażącej nieraz były sprzeczności z wygłaszanymi przez usta zasadami.

W ten sposób tłumaczymy sobie pogląd Opalińskiego na stosunki krajowe, a zarazem jakim sposobem, mając głowę pełną wyobrażeń gdzieindziej zaczerpniętych, zdołał tak trafnie pojmować i oddać w obrazach swych satyr świat najbliższy go otaczający. Wykształceniem, polorem zewnętrznym magnat nawpół scudzoziemczony, sercem i nawyknięciami był szlachcicem XVII wieku jak tyłu innych. Ztąd łatwo mu było pochwycić charakter i koloryt swej epoki, a zwłaszcza ludzi swego stanu. Zna on wybornie naturę i wady ówczesnej szlachty, ludzi wojkowych, dworaków, z prawdą i bezwzględnością z żyjących wzorów kreśli rozmaite ułomności moralne, przedstawiając udanych świętoszków, dewotki, przesadne elegantki, marnotrawnych synów, obłudnych przyjaciół, niepozbytych niczem natrętów itp.

Główne agencye: we
Lwowie księgarnia K.
Wilda, w Krakowie
księgarnia J. Wilda, w
Poznaniu księgarnia J. K.
Zupańskiego.

Rękopisy nie przyjęte
do druku zwracają się w ra-
zie zażądania.

Szanownych autorów
i nakładców, życzących so-
bie znaleźć w „Świecie”
wzmiankę lub rozbiór kry-
tyczny swych dzieł pro-
simy o nadsełanie Redak-
cyi egzemplarzy takowych

Ale pomimo tego ten właśnie rodzaj satyr, gdzie opisuje stosunki życia prywatnego, największa zdaje się grzeszyć przesadą. Bo znając charakter naszej przeszłości i narodu, śmiało możemy twierdzić, że lubo w owych czasach wiele było zbytku, nierozsądnego naśladownictwa obczyzny w strojach i zwyczajach, wiele pijackich bankietów i wiele nawet poziomej podłości, jednakże pewnie ówczesni mężowie nie truli dla posagu swoich żon arszenikiem, ani ojcowie z obawy przed chciwością synów nie potrzebowali zażywać mitrydatowego antidotum.

Daleko prędzej może nas przekonać Opaliński, że jest prawdą to, co powiedział o politycznym stanie Rpltej—jak wspomnieliśmy, może pod tym względem powołać się na świadectwo historii. Nie on pierwszy powstawał na tego rodzaju błędy, wyprzedzili go w tem ludzie znanej prawości i wielkiej używający sławy, jak ów mądry Jan Ostroróg, jeszcze za Kazimierza Jagiellończyka piszący o naprawie Rpltej, albo Mikołaj Rej, pełen uczucia i serdeczności. W samym Opalińskim nawet widać, że brał na seryo swój urząd Katona Cenzora i wytykając wystęпки publiczne i niedbałość o powszechne dobro, przejęty był żywo tym nieszczęsnym stanem i szczerze pragnął zle wykorzystać. W tych Satyrach porzuca on nawet niekiedy zwyczajny sobie ton ostry, pozbywa się żółci i bez żadnego afektu, z prozaicznym chłodem statysty lub ekonoma politycznego, rozbiera te ważne dla kraju kwestye. Z tego powodu niektóre satyry tego rodzaju wyglądają prawie jakby naukowe jakieś rozprawy. W innych znowu, które pisze w zwykłym sobie rozgorączkowanym i namiętnym usposobieniu, czuć wyraźnie, że zapominał choć chwilowo swej osobistości i prywatnych pasyi, a jedynie chęć publicznego dobra, i gorąca żądza poprawy narodu jego ręką kierowała. Czuć nieraz, powtarzam, że mocniej bije mu serce na myśl obecnego upadku a dawnych złotych i szczęśliwych czasów. Wtedy pomimo tkwiącej w nim osobistej urazy,



pomimo niechęci do swojskich ustaw i zwyczajów i przyznawania obczyźnie wyższości, z gorącym uczuciem zwraca się ku ideałowi przeszłości i swemu polskiemu sercu daje przewagę nad wykształconą obcemi wyobrażeniami głową.

Z tych to przyczyn, że Opaliński pomimo braku wyższej sztuki, dowiódł jednak w swych satyrach wielkiej zdolności poetycznych, kiedy potrafił nadać im życie i niezwykłą nawet plastyczność, jakoteż iż pomimo przesady i żółci rozlanej po jego dziele, sprawiedliwie wytykał błędy spółziomków i wiele rzeczywiście mądrych rad udzielał, satyry jego, obudzające z jednej strony nienawiść i oburzenie na swego autora, zjednały mu z drugiej rozgłosne imię w naszej literaturze, a nawet zyskały uznanie tych, którzy jego osobę potępili. Szajnocha naprzykład, wykazawszy niegodne postęпки Opalińskiego w życiu politycznym, powiada o jego książce: „jest ona jedyną po nim spuścizną, która może obudzić w nas żal prawdziwy, że publiczne życie autora tak fałszywy wzięło kierunek.“

Tej książce także ma Opaliński zawdzięczyć w największej części tę niekorzystną sławę, która ciąży na jego pamięci... De Noyers, sekretarz królowej Maryi Ludwika, pisząc o jego śmierci zaszłej 9 Stycznia 1656 roku powiada, że Opaliński „umarł nagle wydając wielki krzyk...“ Podobnym krzykiem, ale wydanym przez duszę, była jego książka. Jego głośnie i przenikliwe brzmienie zwróciło na Opalińskiego uwagę potomności...

Przy tem, co napisano o nim na kartach historii, byłby pozostał mniej znanym, nie tak sławnym, ale zapewne byłby policzony między tych poważnych senatorów, którzy nie odznaczyli się wprawdzie wielkimi czynami oręza, ani świetnym geniuszem w pokoju, ale stali przy tronie jako jego podpory i czcigodni ojcowie narodu. Satyry wyłączyły Opalińskiego z tej cizby, znacznej tylko przez liczbę i powagę stanu, ale uczyniwszy go rozgłosnym, przydały do tej świetności i cień złej sławy.

I dzisiaj więc pozostaje Opaliński jak przedtem w półcieniu i w półświecie. Ale nie pochodzi to już z niedokładnej znajomości tej postaci, nie z braku wiadomości o niej, tylko wypływa z natury jego charakteru

i stanowiska w przeszłości. Człowiek ten był w życiu sprzecznością dla innych, a nieraz i sam dla siebie — z tej przyczyny pozostał i dla nas dwulicowym, dwójznanym i wątpliwym, wzbudzającym zarówno szacunek i uznanie, jak odrazę i niewiarę. Nie można mieć dla niego sympatyj, jaka otacza przez długie wieki wielu z naszych pisarzy, ale także nie można odmówić szacunku jego zdolności, bystremu wroкови i gorącemu nieraz sercu. Człowiek ten zresztą nie stoi osamotniony w swej epoce. Chcąc go dobrze zrozumieć, trzeba go uważać na tle swojego czasu i w gronie podobnych do niego postaci; trzeba sobie przypomnieć, że właśnie pod owe czasy Radziejowski za osobistą krzywdę i obrazę mścił się naprowadzeniem na Polskę króla Szwedzkiego; że wówczas żył Jerzy Lubomirski, używający zrazu wielkiej sławy, otoczony wielką czecią i obsypyany zaszczytami dla usług oddanych Rpltej i tronowi, a następnie rokoszanin rzucający się na króla i niszczący w domowej wojnie zbawienne dla Polski zamysły i nadzieje; że to jest czas wreszcie takich ludzi jak Hieronim albo Andrzej Morsztyn, którzy przejawiający się duchem zagranicznym, lekceważyli narodowy obyczaj i ojcyste ustawy i pragnęli byli inny pozór nadać życiu społecznemu i inną formę urządzeniom krajowym, choć ich osobiste uczucia i usposobienie nieraz się tym szeroko zakreślonym planom sprzeciwiały. W ogóle jest to czas dążących do upatrzonego celu własnym swym torem osobistości, jakie wydać może oligarchia biorąca nad innymi stanami przewagę — i czas nowatorów, którzy w powszechnem rozstrojeniu i nieładzie gotowi się chwycić nie zawsze nawet odpowiednich i zbawiennych środków, byle tylko choć gwałtownem lekarstwem zapobiedz niebezpieczeństwu chwili. Ludzie tacy w obec sądu swojego czasu i potomności, mają zawsze pewne słabe strony na sobie i nie mogą wyróżniać na jednolite, posągowe postacie, w jakich przed oczami późniejszych wieków stają bohaterowie narodowi. Najczęściej tą słabą stroną psującą wrazenie ich rzeczywistych zasług bywa osobista jakaś namietność... Do takich ludzi swej epoki należy Opaliński, podobny do nich jako ambitny obywatel i jako niezadowolniony z istniejącego stanu nowator.

(Dok. n.)

W KRAINIE SZTUKI,

prolog alegoryczny

przez

BRONISŁAWA ZAWADZKIEGO.

(Dokończenie.)

Scena druga.

Muzyka zmienia melodyę i wyraża zbliżanie się powietrznego zjawiska. W grupie uczniów trwoga i zachwycenie.

SPIEW.

UCZEŃ PIERWSZY: Lecz któż to zbliża się
Zwinęty w srebrnej mgłę
Zapachem tchnący róż,
W twarzy ma uśmiech zórz,
Z niebiańskich płynie wrót?

CHÓR: To cud! to cud! to cud!

DRAMAT.

W obłoku płynie postać alegoryczna: „Ko medya“ w kostiumie. Muzy greckiej przy towarzyszeniu muzyki i zatrzymuje się nad grupą.

KOMEDIA: Jestem Komedia! piastunką śmiechu
I lekkich wzruszeń królową,

Piętno śmieszności kładę na grzechu,
Satyra moja osnowa.

A wy ze ziemskich dolin przybysze
Niesiecie jakie nowości?

Z mojego tronu niechaj usłyszcie
Pragnienia waszej młodości.

UCZEŃ DRUGI: My Tobie służyć pragniemy szczerze,
Patrz! święty zapal nas wieńczy!
Niesiemy sztuce w chętniej ofierze
Cały nasz zapal młodzieńczy!
Fantazja nasza w błękitny gnana
Obłocznych dostaje skrzydeł,
Tylko nam odsołń, Muzo świetlana,
Zagadkę Twoich prawideł!

KOMEDIA: Niechaj wam prawda natury będzie
Jasną mistrzynią w podróży,
Tylko natura zawsze i wszędzie
Podoba się i nie nuży.

Wszak to jest moja wieczna istota
Być życia prawdziwym echem,
Jego pośepność z wdzięczną ochotą
Zaprawiać wesołym śmiechem.
Więc zawsze z twarzą jasną, pogodną
Roztrząsam te ziemskie sprawy,
Naganą błędy karce łagodną
I wszelki zamiar nieprawy.
Odkrywam ludzkiej duszy słabości
Znamieniem wstydu je znacze,
A w obec takiej grzechu nagości
Niekiedy we śmiechu płacze.
Toż dla artystów wyżej patrzących
Niedość publicznie zabawić,
Ale potrzeba ludzi śmiejących
Komedya z grzechu poprawiać.
Kapułańskie musi mieć namaszczenie
I białą szatę na duchu,
Kto pragnie sztuką wyrzucić wrażenie
I znaleźć chętnych do słuchu.
Dla takich celów, o plemię młode,
Do mojej służby cię wzywam,
Na skroń twą zlewam kastalską wodę
A sama w mgłę się rozplywam.

SPIEW.

CHÓR: U twych ołtarzów czoło skłaniamy
Na wierną służbę ci przysiegamy
Nasza królowo!

Wszyscy pochylają czoła — „Komedya“ przesyłając im ręką po-
żegnanie odpływa. Muzyka wyraża oddalenie się powietrznego
zjawiska, poczem przechodzi w tempo wesela i tryumfu.

CHÓR: Uderzmy w hymn wesela,
Bo wystuchano nas,
bis { Kto tryumf nasz podziela,
Niech śpiew zanuci wraz!
O! jakież szaf wesela
Przejmuje dzisiaj nas,
bis { Kto tryumf nasz podziela
Niech śpiew zanuci wraz!

Scena trzecia.

Muzyka zmienia melodyę i wyraża zbliżanie się powietrznego
zjawiska. W grupie uczniów trwoga i zachwycenie.

SPIEW.

UCZEŃ PIERWESZY: Lecz któż to zbliża się
Zwinęty w srebrnej mgłę,
Z nim płyną fale brzmień
I Archanielskich pień,
Czy to fantazyi plód?

CHÓR: To cud! to cud! to cud!

W obłoku płynie postać alegoryczna „Muzyka“ w kostiumie
Muzy greckiej przy towarzyszeniu orkiestry i zatrzymuje się
nad grupą uczniów.

MUZYKA: Muzyka jestem, święta, przeczysta
Królową w świecie harmonii,
Snuje się wstęgą tonów srebrzystą
Po światów bezbrzeżnej toni.
A wy przybysze z ziemskiej krainy
Niesiecie jakie nowości?
Czyliście weszli w sztuki dziedziny,
By hołd wykonać piękności?
UCZEŃ DRUGI: My Tobie służyć pragniemy szczerze,
Patrz! święty zapal nas wieńczy!
Niesiemy sztuce w chętniej ofierze
Cały nasz ogień młodzieńczy!
Tylko nam odśłoń z mgły tajemniczej
Swa, bezcielesną istotę,
Daj Twe melodye pojać słowicze
I tonów piorunne zwroty.

MUZYKA: Ja jestem cichym ducha pogwarem
I echem jego miłości,
Nieokreślonym poję was czarem
Jakiejs niezmierniejszej błogości.
Co tylko w duszy drgnie wam uczuciem,
To zaraz przelewam w dźwięki
I tak serdecznie melodyi snuć
Powtarzam te ludzkie jęki.

Natchnienie spływa w samotnej ciszy
Nie w świata pijanym gwarze,
Ten jest artysta, który dosłysz
Jak lilja nad wodą marzy.
Artysta niechaj skupia się w sobie
I z serca snuje pieśń życia,
A ja go mistrzem natchnionym zrobię,
Na blask wywiode z ukrycia.
Wtedy on będzie sztuką wywierat
Czyste wrażenia na duszy
I w serc przepaście będzie zazierał,
Spiać tam siły poruszy.
I wtedy zagrmi śpiewak-artysta
Pieśnią Marsylii przed ludem,
A on jak lawa buchnie ognista,
Tyranów przerazi cudem.
Dla takich celów, o plemię młode,
Ku mojej służbie cię wzywam
Na skroń twą zlewam kastalską wodę
A sama w mgłę się rozplywam.

SPIEW.

CHÓR: U twych ołtarzów czoło skłaniamy,
Na wierną służbę ci przysiegamy,
Nasza królowo!

Wszyscy pochylają czoła — „Muzyka“ przesyłając im ręką po-
żegnanie odpływa. Orkiestra wyraża oddalenie się powietrznego
zjawiska, poczem przechodzi w tempo wesela i tryumfu.

CHÓR: Uderzmy w hymn wesela,
Bo wystuchano nas,
bis { Kto tryumf nasz podziela,
Niech śpiew zanuci wraz!
O! jakież szaf wesela
Przejmuje dzisiaj nas,
bis { Kto tryumf nasz podziela
Niech śpiew zanuci wraz!

Scena czwarta.

DRAMAT.

UCZEŃ DRUGI: A więc jesteście odtąd przyjęci
W szeregi wyznawców sztuki,
Toż w niezatartej minie pamięci
Te wznioste Bogin nauki!

(Muzyka odzywa się z cicha smętną melodyą.)

Lecz jakaż do nas jeszcze się zbliża
Niewiasta czarno ubrana,
Twarz swą ku ziemi pośepnie zniża
I całą łzami zalana.
Umiejmy cenić rozpacz milczącą
I stańmy tu w smutnym gronie,
A ja uproszę tę bolejącą,
Że nam swe żale odśłoni.

Scena piąta.

Uczniowie stają w półkolu. Od lewej strony wchodzi „Geniusz
historyi“ w postaci kobiety ubranej żałobnie z gałązką cyprysu
w dłoni. Muzyka umilkła.

UCZEŃ: Nieznana Pani! gorzko płacząca
W ogrodzie sztuki promiennym,
Zkad na cie płynie boleść patrząca
Takim wyrazem trumiennym?
Powiedz nam z czyjej to cierpisz winy
I czemu lży takie lejsz?
My osłodziły twoje godziny
I jeszcze się roześmiesz.

GENIUSZ HISTORI:

Jestem historyją! mam łzawe żrenice,
Wyraży łkaniem przerywam,
W czarny ten rąbek niesmiatę swe lice
Przed klawią ludów okrywam.
Ja byłam nieraz demonem zniszczenia
Sama rodziłam tyrany,
Z mojego niegdys rośli pokolenia
Atylle i Dżengischany.
Lecz ja wiedziałam, że światu potrzeba
Przez ciernie wic się i głogi,
Że codziennego trza skąpić mu chleba
Żelazem kaleczyć nogi.

Bo ludzkość trudem Cyklopów żyć lubi,
A jeśli łatwa jest praca,
To wnet w spokoju beczynnym się gubi
I wstecz swe kroki nawraca.
Lecz ulegałam słodkiemu widzeniu,
Że raz jej dusza się skapie
W cywilizacji łagodnym promieniu
I wiek pokoju nastąpi.
Pragnęłam wszystkie plemiona walczące
Wziąć skojarzyć miłości,
Potem w miliony spokojnie żyjące
Rzucić ideał wolności.
Aż oto patrzcie jako się ziścili *)
Te złudne sny mojej duszy,
Gdzie wzrokiem rzuce, tam sterczą mogiły.
I zamięć szkieletów proszę.
W krwi się zanurzył naród myślicieli,
Jak szakał wyszedł na zbrodnie
I wszystkie zgasił w zniszczenia topieli
Cywilizacji pochodnie.
Więc jako geniusz historii zawodzę
Nad taką ducha ruiną
I w mej sromocie bezwładna uchodzę
Ku jasnemu sztuki dziedzinom.
Szukam siedziby rozpaczą gnana
W krainie marzeń i tęczy.
Bo tam z popiołem człowieka zmieszana
Ziemia pod nogą mi jęczy
Dlatego stoję wśród waszej drużyny
W żrenicy tak rozlżawiona.
Zrzuciłam dawne ze skroni wawrzyny
I noszę cyprys u łona.
Wy mię, artyści, przyjmijcie do siebie
I wiercie w moje nauki,
Ja z dziejów złote wam ziarna wygrzebię,
Jako pierwiastek dla sztuki.
Wszakżem ja tyle posiała w świat synów,
Którzy są chwałą ludzkości,
Wypiaśtowałam szereg wielkich czynów
I siałam ziarno miłości.
Dlatego jestem godną tej nagrody,
By sztuka ze mnie czerpała

*) Pisane po wojnie francusko-niemieckiej.

I ludzkich uczuć beznamiętne chłody
Przy mojem ognisku grzała!

SPIEW.

CHÓR: Bądź pozdrowiona
Muza natchniona,
My Ciebie wielbić będziemy
I za Twe słowo,
Czasów królowo,
Głęboki pokłon Ci szlemy.

Wszyscy pochylają czoła — „Geniusz historii“ szląc ręką po-
dziękowanie, odchodzi poważnie w prawo.

FINALE.

SPIEW.

CHÓR: Kapłanko! otwórz nam
Podwoje świętych bram,
Błagamy Cię spragnieni
My sztuce poświęceni.

Otwierają się drzwi świątyni; na progu stoi „Kapłanka
sztuki“ w stroju greckim; nad jej głową błękitny płomień.

KAPŁANKA: Już są otwarte wam
Podwoje świętych bram,
Zbliźcie się do świątyni
Wy, sztuce poświęceni.

CHÓR: Za tak radośną wieść
Niech na Cię spływa cześć
I sława,
I sława,
Niech na Cię spływa cześć
Za tak radośną wieść.

(Powyższe słowa chóru stanowią temat dla dowolnej kompozycji
muzycznej.)

Uczniowie stają na wschodach świątyni. Grupa oświecona
błękitnym ogniem.

Z a s ł o n a s p a d a.

KONIEC.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Silvo dalej o swoich przygodach opowiada.

Tu się cny narrator zatrzymał, poruszony do głębi
wspomnieniem wywołanym z przeszłości. Zawieszono
w niespokojnym oczekiwaniu katastrofy grono słuchaczy
milczało. Lot muchy nie zataiłby się w całej przestrzeni
galeryi. Tak przebiegło kilka minut. W końcu odezwał
się znowu głos Silvy dalszym ciągiem opowiadania.

— Wszedłem na palcach—mówił dalej starszek—
i stanąłem nad nim. W sercu kipiała zemsta — w dłoni
cisnąłem sztylet — w zamiarze niosłem zbrodnię. Ale
był jeszcze bardzo młody, niewinny, nieobity nie tylko
z widokiem lecz nawet z pojęciem zbrodni. Wrodzona
szlachetność wzdrygała się we mnie w obec myśli, z jaką
przestąpiłem próg Dom Alvara, z jaką nad łóżem
jego stanąłem. On spał spokojnie pod opieką wieczornej
modlitwy, zapewne pod opieką boską. On spał, a więc
był bezbronnym jak dziecko—miałabym ja, chrześcijanin
i potomek krwi, zacząć godzić na jego życie, jak podły
zbojca nie stawiać własnego życia na szale? Grzech,
hańba, rozpacz, potępienie, owe straszliwe widziadła
sumienia, powstały nagle przed oczyma duszy mojej kar-

ące, groźne, nieublagane! Strach i zgroza przejęły mnie
do szpiku kości. Serce zadrgało spazmem bolesnym.
Sztylet wypadł z ujęcia. Wybiegłem z komnaty—wybie-
głem z domu—jak? i którydy? nie wiem, bo się drzwi
na noc kluczem zamykały. Biegłem bez zamiaru—dokąd?
i po co? zdać sobie sprawy nie mogłem. Coś pędziło
mnie naprzód przez ulice, zaułki, place—coś nagliło, cią-
gnęło, jakby mnie anioł stróż uwodził od złej pokusy, od
występnego czynu, od wiecznej hańby i męki! Noc była
czarna, głucha, złowroga. Z wawozów Alpuxary wiało
chłodem i gwarem przestrzeni. Tonie Darro szumiały
w swem łożysku z kamienia. Szmer drzew, skrzydłem
powiewów Sierry poruszonych, płynął gdyby westchnie-
nie natury nad uspioną Grenadą. Lecz nad wszystkie
te szumy, brzmienia i szelesty głośniejsze uderzały pulsa
skroni mojej pałającej i tętna wzburzonego łona. Czulem
że mi krew żyły rozsadzi, że fibry mózgu pękają gdyby
wątłe nici, że się serce rozpadnie na poły. Nie wiem,
traf ślepy czyli zbawienny instynkt (bo nie wiedziałem
co czynię) skierował bieg mój gorączkowy ku Alham-
brze. Spojrzałem—w obłonie mroków ponurych majaczą
przedemną swojskie, domowe, poufne mury i baszty tej

opustoszałej monarchów siedziby. Wieże Komares i Vermejas patrzyły na mnie z wysoka — na mnie, którego wypielegnowały od kolebki i zdają się wzywać do siebie uprzejmie. Gdy przekroczył wchodową bramę i wszedł na podwórze lwów, zefiry Zeneralifu otoczyły mnie powiewnym orszakiem i oblały balsamów powodzią. Źdroje i strumienie ozwały się przyjacielskim szmerem, a laury, sykomory i cytryny, w których cieniu żyłem szczęśliwy i rosłem, powitały szelestem swych liści biednego wychowanka swego. Wielka dusza Alhambry owionęła mnie zewsząd i doznałem ulgi. Lżej mi się jakoś robiło, spokojniej, weselej. Z gorączkowej płataminy wrażeń i myśli zacząłem snuć nic białą, rozumniejszych poglądów i zdrowszego sądu o rzeczy. Pocóż ten zamęt wewnętrzny? — myślałem — wszakem niepostradał niewinności mojej? żadną się zbrodnią nie splamił? Przeciwnie, zdeptałem występne porywy zemsty — wyszedłem zwycięsko z walki chwalebnej — pozostałem czystym jak przedtem. Zamiast tedy nękać siebie boleśnie, cieszyć się raczej powinienem — zamiast rumienić się w obec sumienia odwołać się śmiało do jego świadectwa... „Uśnij spokojnie“ — wyrzekło ono — „albowiem nie mam tobie nic do wyrzucenia! Na te błogie słowa uciszyła się cudem burza wewnętrzna. Życie duchowe odzyskało dawną równowagę i pogodę. Ostygły skronie. Zwolniały tętna łona i senność rozkoszna pełna mar i zjawisk feerycznych owiała całe jestestwo moje u stóp Cyprysu Sultanki szemrzącego o dawnej świetności Alhambry zaczarowanym ogrodem Zeneralifu.

Słońce było już wysoko, kiedym ze świata marzeń powrócił na świat rzeczywistości. Nie wyrażę radości, jakiej doznałem w chwili przebudzenia. Po roku ciężkiej niewoli pierwsze to było we mnie poczucie swobody szerokiej, nieokreślonej, w słońcu i balsamach tonącej — swobody, nad którą po Bogu i rodzicach nic dla mnie świętszego i droższego nie istniało na ziemi. Po ciemnych i nagich salach Alkazaru zaledwie dziennemu światłu dostępnych, jakże mi się wydały uroczymi te jasne smugi kwiatów barwistych, co się bogatym haftem na tle zielonego łąk Zeneralifu rozciągały! A te mnóstwo strojne śpiewy ptasząt! te brzęki owadów wesółymi roje igrających w eterze! te ruchome tęczę motyli ze złotą, rubinów, opali! wszystko to wprawiało mnie w zachwyt nieopisany, powiększony jeszcze kontrastem całorocznego mego pustelnicstwa w mroku, niewoli i milczeniu!

Zamiarem moim było zrazu udać się pod opiekę rodziców i błagać ich o inne urządzenie losu mego, mniej sprzeczne z powołaniem mojem i na mnie dotkliwe wystawiające próby. Żeby tak postąpił, wielebym zapewne im i sobie oszczędził boleści. Lecz mnie od tego kroku odwiódła obawa wpaść znowu w szpony Dom Alvara — obawa niepłonna wcale, albowiem wiedziałem dobrze, jak wysokie powagi używał on w opinii matki mojej i jakiej czci był z jej strony przedmiotem. Nie ma wątpliwości, że skorobym się ukazał w domu, znowu by mnie odprowadzono do Alkazaru i nie zważając na skargi i błaganie moje, na pastwę dostojnego pedagoga oddano. Cóż mi zatem zostawało, powiedzcie, jak nie ucieczka? jak nie sieroce tulactwo, smutne, bolesne, to prawda, lecz daleko znośniejsze niżeli ta dola jaką mi gotowano pod ferulą człowieka wstrętnego naturze mojej, człowieka, którego całą mocą duszy nienawidziłem jako żywe narzędzie fanatyzmu, ciemnoty, gwałtu i przesławiania. Ta moja ucieczka tem więcej jeszcze była konieczną, że oddalając mnie od Dom Alvara czyniła tem samem bezskutecznymi złe poduszczenia zemsty

i ocalała nieskazitelność sumienia mego w obec Boga, ludzi i prawa.

W Kordubie mieszkał o tej porze jakiś krewniak mego ojca, o którym rodzice moi nierzadko z sobą rozmawiali. Z ich to słów dowiedziałem się, że był człowiekiem dzielnym, uczciwym, ekscentrycznym i namiętnie miłującym morskie podróże, których odbył niemało w swem życiu. Nazywał się Don Perez Vasconvallos, a ród swój wywodził od jednego z towarzyszy nieśmiertelnej pamięci Don Pelaja, *) najdzielniejszego z królów Asturyi gotskiej dynastyi. Do niego to postanowiłem ja udać się pod opiekę. Jak? z kim? którą? mniejsza! Nie posiadałem ani pieniędzy dla najęcia przewodnika, ani wiadomości miejsc leżących w kierunku przedsięwziętej pielgrzymki — lecz za to miałem wielki zapas młodości, zdrowia, odwagi, a co większa, wiary w życie i nadziei potęgujących tę wiarę.

Trzy są sposoby dostania się z Grenady do Korduby. Albo trzeba cofnąć się o 30 mil aż do wielkiego gościńca wiodącego przez Bailen do Madrytu i Sewilli, albo się puścić ścieżką mulników na Malagę robiąc 20 mil kregu, albo nakoniec, jeżeli komuś całosc karku zawadza, sadzić wprost przez góry i przepaście torem orla, antilopy i bandollera, **) tych jedynych pielgrzymów dzikiej skalistej pustyni Alpuxary i Sierry Nevady.

Szczegóły te nie były mi wtedy wiadome. Należały one wyłącznie do topograficznej biegłości doświadczonych odemnie turystów. Sam tedy nie wiedziałem co począć. Przypomniałem sobie na szczęście, że na pobliskim placu mieszkał we własnym domu stary mulnik Antonio Pimente (wieść głosiła że kontrabandysta), z którego synalkiem kolegowałem w Seminarium. Pobieglem doń skwapliwie, a znalazłszy go uprzejmym i przychylnym prosiłem o radę, jak? i którą? miałem iść do Korduby?

Zamyślał się głęboko pocziwy Antonio. Długo bezgłośnym monologiem usta swoje poruszał. W końcu puścił kilka kregów dymu i rzekł:

— *Dios guarde à usted!* Idź wprost przez góry. To droga najkrótsza. Trzeba siły — lecz ty masz ją. Trzeba także odwagi — czyżbyś jej nie miał? Tyś młody — a gdzież przeszkoda dla młodości? Nie ma jej nigdzie i nigdy! Wiem ja to dobrze, bo i sam byłem przecież młodym kiedyś. Otóż słuchaj bacznie słów moich. Kiedy wyjdiesz odemnie trzymaj się kierunku Alameda, której zielone aleje ciągną się po nad brzegiem Darro. Potem przebiegnij Viegę i zapadnij w góry koło ruiny maurytańskiego zamczyska. Za mostem de los Pinos natrafisz na dawne szlaki, którymi przez całe trzy wieki zwykła Korduba iść wojną na Grenadę i wzajem Grenada ciągnęła zbrojną na Kordubę. Zwaliska Atalajów **) będą przewodnikami twymi. Gdzie się ukąż, idź tamtędy. Kiedy miniesz starą wieżę Torre de los Moros trafisz na osadę Puente de Pinos. Potem ujrzysz wielki zamek na górze, to będzie Alkala. Tam jest wygodna Posada, ***) w której posadero — pocziwy Gilberto, mój dawny przyjaciel. On cię nakarmi i napoi. Z Alkali przyjdiesz do Baeny, a z Baeny nie więcej jak pół dnia drogi do Korduby. Jeżelibyś napotkał jakiego arriero ***) powiedz mu: *vaya usted con Dios!* ***) idź dalej i nie wdawaj się z nim w rozmowę. Złych ludzi trzeba

*) Pelage francuskich dziejopisarzy.

**) Bandyta — kontrabandysta.

**) Wieże strażnicze Maurów.

**) Dóm zajezdny — posadero gospodarz takiego domu.

**) Arriero, bandyta.

**) Jedź z Bogiem.

unikając. Oto masz kilka maravedis na drogę, oddasz kiedy będziesz mógł. „Dios guarde à usted!” i isbal.

Oświadczwszy mu wdzięczność swoją wyszedłem i wkrótce biegłem już cienistymi alejami Alamedy w kierunku przez Antonia wskazanym. Za zielonym obszarem Vegi kręto się wyginał wąwóz głęboki, dziki, złowrogi, nawodzący myśl o wnijsciu do piekła Virgilego lub Danta. Groźne słowa: *Lasciate ogni speranza!* zdawały się płonąć jaskrawo nad tem miejscem, kiedy rozpaczy tylko i zbrodni stapać przystało.

Smutno mi się zrobiło. Bolesć, zakipiało serce. Wstrzymałem kroku i spojrzałem nazad. Postrane wiekiem i żalobą omglone czoło Alhambry tęskno się zwracało ku mnie. Wieże i baszty twierdzy Alama ra *) zęgały ze współczuciem wychowanka swego. Zdawało mi się nawet, że szmer pożegnalny drzew Abayzinu i Żeneralifu dolatywał do mnie przez obszary.

Gdy z szczytów opuściłem doł wejście moje ujrzałem część ściany rodzicielskiego mieszkania. Coś białego jakby postać matki mignęło w oknie. Tak, to musiała być ona! Śledziła przestrzeń zapewne ażali nie ujrzy gdzie syna, co w taki nieprzewidywany sposób zadał kłam jej macierzyńskim nadziejom. O! gdyby nie ten bezecny Dom Alvaro, pozostałbym z nią wiecznie! nie zasmuciłbym jej ucieczką! usiłowałbym nieść ulgę jej sercu i pociechę! bom kochał matkę, kochał dobrego ojca mego! Całe jestestwo moje rwało się do nich napowrót i uległbym z rozkoszą temu pociągowi duszy, gdy-

*) Mahomet Alamar król Grenady, był założycielem Alhambry w połowie 13go stulecia.

Głębia morza i głębia powietrza

przez

Dr. TOMASZA STANECKIEGO.

(Ciąg dalszy.)
W chwili, kiedy Glaisher na wysokości 29.000 stóp ostatnią przed omiśnieniem wykonał obserwację, balon szybował w górę z chyżością tysiąca stóp na minutę, a że jeszcze przynajmniej dziesięć minut upłynęło, zanim otwarcie kłapy nastąpiło; zanim przeto balon spuszczać się zaczął, w przybliżeniu więc sądząc Glaisher i Coxwell ocenili wysokość, do której się wzbili, na 36.000 stóp. To pewna, że oni pierwsi wdarli się w taką dzielnicę atmosfery, do której w najwytrwalszym zapędzie nawet kondor nie wzleci, że oni pierwsi dosięgli owej granicy, gdzie bohaterka energia woli rozbija się o nieudolność fizyczną, gdzie ujarzmiciel sił natury grozą przejęty wypuszcza z rąk wodze czytając upomnienie „Pod karą śmierci wyżej nie wolno!” Nie mogąc sondować atmosfery podobnym sposobem jak morza, usiłuje człowiek drogą rozumowania opartego na spostrzeżeniach dociec tej tajemnicy, czy i powietrzna ma granicę. Próbe obliczenia wysokości atmosfery na podstawie zjawisk optycznych zrobił już w XII. wieku arabski fizyk Alhazen, a ogłosił ją współczesny jego tłumacz, Vitellio, znakomity nasz ziomek. Zorza zaranna czyli świt, i zorza wieczorna zwana także zmierzchem albo zmrokiem, są skutkiem odbijania się światła słonecznego od cząstek powietrza w górnych warstwach atmosfery. Pierwszy ku ziemi odbity promień zaczyna ranną, a ostatni takż promień kończy zorzę wieczorną. Otóż fizycy przyjmują, że takowy promień przesyła słońce znajdując się blisko

bym nie tracił nagle zrenicą o gmach ponury Alkazaru, co zdawało się grozić mi zdaleka powtórzeniem tych samych cierpień i obelg, które mnie do ucieczki pobudziły! O! nie! pomyślałem. Los wyrzekł! Niech się wyrok jego dopełni! Nie dla mnie cieśnię i mroki Alkazaru! Dla mnie świat cały — to jest przestwór i słońce! ruch i wola! Dalej więc! dalej! kiedy oczy poniosą!... I wbiegłem do wawozu — i długo pędziłem pomarańczym torom ścieżek i manowców Alpuxary, jakby uciekając przed pogonią groźnej jakiejś i straszliwej potęgi.

Trzy dni trwała mozolna i awanturnicza pielgrzymka moja do Korduby. Wstąpiłem do niej moralnie i fizycznie znękany. Dzień przechylał się za południe. Upał był nieznosny. Poszedłem na brzeg Gwadalkiwiru i usiadłszy na głazie w cieniu rozłożystej pomarańczy wciągałem w siebie z rozkoszą świeżość wód żywych rzeki i przelotnych technię Sierry Moreny. Ta chwila spoczynku była dla mnie koniecznością. Głód i znużenie wprawiły mnie w stan takiej niemocy, że się ledwie ruszyć mogłem. I na duszy działo się nie lepiej. I na sumieniu nie było lekko. Trapiła mnie niepewność, co pomyśli o mnie Don Perez Vasconvallos? i jakiego doznam od niego przyjęcia? Dotkliwiej jeszcze trapiła mnie boleść rodziców moich a smutne ich oblicza przedstawiały się coraz wyraźniej oczom moim z gorzkim wyrzutem i z rzewną sercową skargą.

Wśród tego zamętu myśli i wrażeń, co bywa zwykłym następstwem i karą nagannego postępku, nieprzewidywana senność omglała zmysły moje. Wkrótce też zasnąłem głęboko.

(C. d. n.)

Stwierdzono, że powietrze ma swoją granicę, którą przekroczył pierwszy człowiek, który wstąpił na samą górną warstwę atmosfery. W chwili, kiedy Glaisher na wysokości 29.000 stóp ostatnią przed omiśnieniem wykonał obserwację, balon szybował w górę z chyżością tysiąca stóp na minutę, a że jeszcze przynajmniej dziesięć minut upłynęło, zanim otwarcie kłapy nastąpiło; zanim przeto balon spuszczać się zaczął, w przybliżeniu więc sądząc Glaisher i Coxwell ocenili wysokość, do której się wzbili, na 36.000 stóp. To pewna, że oni pierwsi wdarli się w taką dzielnicę atmosfery, do której w najwytrwalszym zapędzie nawet kondor nie wzleci, że oni pierwsi dosięgli owej granicy, gdzie bohaterka energia woli rozbija się o nieudolność fizyczną, gdzie ujarzmiciel sił natury grozą przejęty wypuszcza z rąk wodze czytając upomnienie „Pod karą śmierci wyżej nie wolno!” Nie mogąc sondować atmosfery podobnym sposobem jak morza, usiłuje człowiek drogą rozumowania opartego na spostrzeżeniach dociec tej tajemnicy, czy i powietrzna ma granicę. Próbe obliczenia wysokości atmosfery na podstawie zjawisk optycznych zrobił już w XII. wieku arabski fizyk Alhazen, a ogłosił ją współczesny jego tłumacz, Vitellio, znakomity nasz ziomek. Zorza zaranna czyli świt, i zorza wieczorna zwana także zmierzchem albo zmrokiem, są skutkiem odbijania się światła słonecznego od cząstek powietrza w górnych warstwach atmosfery. Pierwszy ku ziemi odbity promień zaczyna ranną, a ostatni takż promień kończy zorzę wieczorną. Otóż fizycy przyjmują, że takowy promień przesyła słońce znajdując się blisko

18 stopni pod poziomem. Obliczając wysokość pierwszej górnej warstwy powietrza, która już dostateczną ma gęstość do odbijania światła zorzy, ocenił Arago grubość osłony atmosferycznej na 7.92, Delambre na 9.5, Kepler na 10 mil geograficznych.

Za wzrostem odległości od powierzchni morza zmniejsza się i rozprężliwość powietrza i siła ciężkości, pierwsza jednak prędzej niż druga; w pewnej zatem wysokości musi między temi siłami zachodzić równowaga i tam się kończy atmosfera. Na tej zasadzie opierając rachunek znalazł G. Schmidt granicę powietrzni pod równikiem w odległości 7.22 mil geograficznych, pod warunkiem, że średni stan barometru wynosi 337.5 linii paryskich, a ciepłota 22.4° R.; dla takich zaś miejsc, gdzie średni stan barometru jest ten sam, ale temperatura przy powierzchni ziemi równa się zeru, otrzymał 6.6 mil geogr. Rozprężliwość powietrza zmniejsza się od dołu do góry z dwóch przyczyn, już to dlatego, że ciśnienie warstw górnych na dolne staje się coraz mniejszem, już i dlatego, że ciepłota się zniża. Z przypuszczenia, że termometr na każde 141.1 sążni paryskich opada o 1 stopień, wynikły powyższe wypadki. Ale Schmidt oparł rachunek i na tem przypuszczeniu, że w dolnych dzielnicach atmosfery ciepłota prędzej się zniża, aniżeli w górnych, i na tej podstawie znalazł na oznaczenie wysokości atmosfery pod równikiem 27.5, a pod biegunami 27.1 mil geogr.

Z wirowania ziemi wespół z powietrzem wynika, jak wiadomo, siła odśrodkowa, która oczywiście wywiera musi wpływ na wysokość atmosfery. Uwzględniając rzeczoną siłę doszedł E. Schmidt do tego rezultatu, że wysokość powietrzni pod równikiem wynosi 7.7, pod biegunami 5.8 mil geograficznych, jeżeli pod równikiem średnia ciepota równa się 25° C. a pod biegunem zeru, i jeżeli pod równikiem temperatura znizła się o jeden stopień na każde 600, pod biegunami zaś na każde 500 stóp. Ze skutkiem ruchu obrotowego atmosfera przybrać musiała postać sferoidy eliptycznej, i że spłaszczenie tejże jest większe niż u ziemi, nie trudno wyrozumieć. Laplace wykazał, iż stosunek największej do najmniejszej średnicy nie może być większy jak 3 : 2, a więc spłaszczenie nie może wynosić więcej nad 1/3.

Pod warunkiem, że temperatura w całej rozciągłości atmosfery jest jednakowa, gęstość powietrza zmniejsza się w postępie geometrycznym, podczas gdy odległość od powierzchni ziemi rośnie w postępie arytmetycznym. Według tego prawa w odległości 9 mil powietrze jest 2500 razy rzadsze od powietrza znajdującego się przy powierzchni morza, a w odległości 30 mil 4 biliony razy rzadsze!

Wszyscy prawie uczeni tegoczesni uznają to za rzecz niewątpliwą, że meteory kosmiczne dopiero wtedy widzieć się dają, gdy wpadną w atmosferę naszego pla-

nety. Profesor Weiss w rozprawie swej o gwiazdach spadających podaje jako średnią wysokość, w której się zjawiają meteory sierpniowe, 115 kilometrów, a jako średnią wysokość, w której gasną, 88 kilometrów. Newton, profesor w New-Haven ocenia średnią wysokość miejsca ich pojawu na 155 kilometrów, a miejsca przygaszania na 98 kilometrów. Wysokości te sięgają daleko poza granicę, jaką teorie opierające się na własnościach powietrza wyznaczają. Schiaparelli, dyrektor obserwatorium w Medyolanie, nie waha się utrzymywać, że atmosfera przenosi 200 kilometrów, a jego twierdzenie znajduje poparcie w obserwacjach, jakie ostatnimi laty robiono w Ameryce, jużto zajmując się polaryzacją światła atmosferycznego, już też oznaczaniem wysokości łuku zorzy północnej.

Quetelet dzieli atmosferę na dwie warstwy, którym przypisuje odmienne własności. Dolna warstwa jest według jego hipotezy widownią zwykłych zjawisk meteorologicznych, górna zaś zorzy północnej i gwiazd spadających. Tam w tej górnej, nieruchomej i gładkiej burzą nie zamąconej warstwie, do której żadna nie wznosi się chmura, części składowe powietrza mogą się układać jedno na drugie stosownie do gęstości; być może nawet, że na tych kresach atmosfery rozmieściły się gazy bardzo lekkie, które z materiami poniżej rozpostartymi ani się łączą ani mieszają. (Dok. n.)

MECZENNICZY FANTAZYI,

N O W E L L A

z niemieckiego

LUDWIKA FOGLARA.

(Ciąg dalszy.)

Zuzanna wyrzekła to imię z badawczym spojrzeniem, a ten co je nosił zwolna powracał cienistą ulicą. Zuzanna poszła na jego spotkanie, czując, że towarzysze potrzeba kilku chwil skupienia i samotności.

Spojrzenie w głąb własnej duszy wstrząsnęło całą istotą Almy — spójność jednak choć przemocą wywołany musiał nastąpić. Przepadło, co raz przeszło przez usta człowieka.

Zuzanna z przyjacielem przechadzała się wzdłuż parku nad wybrzeżami strumienia. Chmura troski okrywała jej czoło, a ciężar powziętego postanowienia uciskał serce. Rozmowa z Orbesem zmusiła ją stanowczo spojrzeć w przyszłość. Cały czar swobodnego życia okryty został posępnymi troskami. Jak po uderzeniu gromu świat był już dla niej odartym z bożyszcz, naga rzeczywistość sterczała uragajaco w obec jej fantazyi, a przecucie złamania w walce z ustawami świata wzrastało olbrzymio w jej potężnym sercu.

Frydryk poglądał na nią pełen zdziwienia, przybywał w tej chwili szczęśliwy, że może się podzielić najmiłszymi pomysłami ognistego umysłu, że w słowa ujęte wypowie wszystkie nagromadzone w sobie burze namiętności — i w tej chwili poczuł, że stoi przed zatrzęsniętymi wrotami jakiejś tajemnicy. Pierwszy raz odważył się ucałować rękę Zuzanny, spojrzenia ich błyskawicą się spotkały i Frydryk w tej samej chwili mimowolnie runął na kolana przed ubóstwianą niewiastą... Zuzanna strwożona spojrzeniem rozkazała mu, by pohamował wezbrane uczucia. Zwolna i cała drżąc, dając ku domowi, czasem

się chwilowo zatrzymując, przemawiała niekiedy głosem wół martwym:

— Przyjacielu duszy mojej, jeżeli chcemy pozostać sobie, czem jesteśmy — i na wieki będziemy — pozostaję nam jeden środek — szybkie rozstanie!

Frydryk spłonął — słowa zamarły mu na ustach. Zuzanna mówiła dalej:

— Żyją wśród nas i w koło nas ludzie, których w losy nasze wkiłać nam nie wolno. Losy ich splecione nitką, którą dzierży nasza wola! Wolność wyniesienia się nad nasze stosunki jest wszystkim, co nam pozostać może z rozbicia naszego osobistego szczęścia. Ideał wymaga boskiej ręki, my nędznicy możemy go przeczuć, poczuć, cierpieć zań i ponieść męczeństwo — ale urzeczywistnić go nie zdołamy i to dla dogodzenia tylko naszemu w nim rozmiłowaniu... Frydryku! nie mamy — prawa! bo ideał ten nas uszczęśliwiający stanąłby na gruzach „ich“ szczęścia. Można z podobnej myśli być szczęśliwym, ale nikomu nie zazdrościłabym smutnego jej urzeczywistnienia. „O Diotimo! Diotimo! ta godzina!...“ Zostaw mi to imię, przyjacielu, które na chrzcie ognistym dała mi twoja Muza, niechaj żyje w pomysłach twórczości twojej, dla mnie ono nie będzie stracone, szczęśliwa będę każdym twoim zwycięstwem, żadna odległość czasu ni przestrzeni wydrzeć mi nie zdoła tego daru przyjaciela, tego w czem się objawił jego geniusz w gromowych chwilach natchnienia!...

— Puszcza dzika rozlega się przedemną, niebo moje fatalnie się zachmurza i mógłbym zazdrościć robakowi, który wypełnił zakres jednodniowego żywota!...

Jakże pamiętne są mi teraz słowa mojej matki: „Kropla rozkoszy jest morzem boleści!”

— Bądźmy sprawiedliwymi Frydryku—morze rozkoszy, szczęścia i radości przeszło, przeszumiało spienionymi falami, teraz kolej na kroplę boleści i goryczy!...

— Dość wielka, by w niej zostać pochłoniętym... oh! kędyż ujdę przed myślą utracenia... ciebie? Diotimo!...

— W poświęcane gaje, kędy piękność przebywa, kędy świetlana aureola otacza oblicze—prawdy! Bogowie dali Ci szczęście bycia prorokiem światów jeszcze nie skazonych, utwierdzenia wiary w związek ziemi z przestworzem ducha, podniesienia istoty swojej i współbraci w kształtach piękności, w służbie Muz!... Służba nie lekka—ale zazdrości godna! Wspomnij na chwilę, kiedy Ci rzekłam: kogo Bogowie ukochali, temu dali wielkie cierpienia na to, by większa radość stała się jego udziałem!

— Gromadzi się ciężka chmura nademną! czuję, że mnie zgnieść musi, jest mi jak gdyby zaćmiły się zmysły moje i jakby błękitna przesłona niebios rozdarła się z góry aż do padołu ziemi... słońce moje zapada na zawsze, a chaos rozpacza się nad duszą moją.“

Zuzanna twarz ukryła w dłonie, jasne łzy wybuchły strumieniem z jej pięknych oczu, oparła się o białą kolumnę, której się chwycić musiała. Frydryk zapatrzonej przed siebie stał niemy i obrywał listki w pól rozkwitłej róży...

Zmierzch zapadający otaczał coraz ciemniej grupę zasmuconych... Alma zbliżyła się zwolna ulicą lipową, niewinny wyraz jej duszy odaniała się w twarzy prawie dziecinnej, na którą wracać się zdawał odrodzona wesołość. Uczynione wyznanie ulżyło jej sercu, dodało mu otuchy, uwiła tymczasem wieniec dziwnie piękny, z najbarwniejszych dobranych kwiatów i oddając go poecie, rzekła:

— Teraz przeczytaj nam co z Hyperiona!

Niepodobieństwem zdało się młodzieńcowi zwalczyć wszystkie nim miotające uczucia, mechanicznie stapał za kobietami ku bliskiemu pawilonowi, ale nie mógł z całości swego utworu dobrać ustępów, któreby sprzął w ład osobny... Złamanym głosem czytał oderwane ustępy, które dziwnie licowały ze stanem jego ducha — były one istną ilustracją cierpienia, które ich tak szczerobroliwie i tak równo obdziało wszystko troje.

— Jest pewne zapomnienie wszelkiej obecności — czytał zwolna Frydryk — pewne oniemiaenie całej naszej istoty, kiedy nam jest tak, jakbyśmy utracili wszystko! noc to złowieszcza dla serca, w której ani jednej gwiazdy

nie ma dla nas, nawet pruchno złamanego wpółzgniętego pnia, co niegdyś szumił w powietrzu wspinałem drzewem, nie raczy nam zabłysnąć w takiej chwili. Jest to stan zbolały, który niema równego sobie, rozkład uczucia, w którym życie nasze, traci wszelkie znaczenie, kiedy już serce powie sobie stanowczo: musisz pójść na dno! i nic nie zostanie po tobie, ani kwiatek przez ciebie sadzony, ni chata wzniesiona, nic, nic nie zostanie po tobie na ziemi! Cierpiący niech nie pyta ulgi u zimnego lekarza, ani u chłodnego mnicha, kiedy sam przepada w sobie; ale niech ucieknie wspomnieniem w przeszłość wiosny, dni swoich radosnych i kwitnących, a z nich jeszcze, wykwitnąć mu może kwiat przyszłości! W takich chwilach niekiedy, najczarniejsza chmura właśnie nad człowiekiem zawisła rozdziera się sama — i zwątpionemu niespodzianie odsłania świetlane błękity nieba!“

„Czem są wszystkie myśli i czyny lat tysiąców, zdziałane przez człowieka, w obec jednej chwili — miłości?... Ona jest arcydziełem stworzenia najdoskonalszym, ku niej prowadzą wszystkie stopnie żywota — ztamtąd idziemy — tam dążymy.“

„Miłość świat zrodziła — przyjaźń go odrodzi. Z harmonii dziecięstwa wyszły ongi pierwotne ludów pokolenia — harmonia duchów stanie się kiedyś prawem bytu, historią przyszłości.“

„Pierś moją zaprawiać będę w zapasach przeszłości, aż będzie kutą ze stali; ćwiczyć ją będę — aż stanę: niezwykłym! — albo padnę wśród walki.“

„Kwiaty serdeczne wymagają dziewiczego pielęgnowania, korzenie ich przebywają wszędzie, ale one same tylko w ciepłej dobie rość mogą.“

„Słońcem jest człowiek, jasnowidzącem, oświecającem i ogrzewającem — kiedy kocha! a jeżeli nie kocha, jest brudną izbą w której przyświeca lampka cuchnąca...“

„Bywają wielkie ustępy w życiu naszym, które podziwiamy sami — jak heroów starożytności, walczymy z nimi, a jeżeli im dotrzymamy kroku i dostoiny w walce, one stają się siostrami nam, i zostają nam wierne!“

„Kto cierpi bez granic — dla tego nie ma granic.“

„Chętnie poświęcamy własne uczucia, kiedy cel wielki widzimy przed sobą.“

„Szczęśliwy czyje życie przeplata się serdeczną radością i walką szlachetną!“

„Kto całą duszą działa, w działaniu jest — nieomylny. Nie potrzebuje liczyć się z półśrodkami, bo nie ma potęgi która by się przed taraniem jego woli ostała.“

„Mowa, jest zbyt cenna. — To co w nas najlepszego, to zawsze pozostanie w naszej głębi, niedojrzałe, jak perła na dnie morskiem.“ (C. d. n.)

Przegląd literacki.

Bolesław Chrobry, przez Augusta Mosbacha. Poznań. Nakładem J. K. Zupańskiego 1872 8vo.

Jedną z tych wielkich postaci dziejowych, będących przedmiotem podziwu współczesnych i potomnych pokoleń, był nasz Bolesław Chrobry, rzeczywisty twórca i założyciel Polski. Z natchnieniem opowiada jego dzieje najstarsza polska kronika, niemniej uwielbiają go wszyscy późniejsi polscy historycy. Nestor przyznaje, że Bolesław był „chrobry i zmyslny“, a biskup merseburski Thietmar, jakkolwiek wróg zacięty, pozostawił w swej kronice najwymowniejsze świadectwo jego wielkości i chwały. Nowsi dziejopisarze niemieccy jak Roepell i Giesebrecht nazywają Bolesława „bohaterem“, potężnym władcą, największym zdobywcą swojego wieku.“

Takim był następca Mieczysława Igo, owego księcia, za którego Polska pod przewagą broni niemieckiej stanęła w rzedzie krajów hołdowniczych cesarstwa. Ale Bolesław, znając dokładnie stosunki sąsiednich Niemiec umiał wybornie z nich korzystać, a łącząc coraz więcej ludów słowiańskich pod swem berłem, z małego księstwa utworzył potężne państwo od Bałtyku do Dunaju, od Elby do Bugu.

Zrazu utrzymywał Chrobry z Niemcami stosunki przyjaźni i uległości, atoli po śmierci Ottona IIIgo rozpoczęła się owa pamiętna walka, w której Bolesław pomimo przewagi liczebnej i cywilizacyjnej cesarstwa świętne odniósł zwycięstwo i na zawsze złamał przewagę Niemców nad Polską.

Sposób prowadzenia wojny Chrobrego ma pewne wyłączone, właściwe mu cechy: śmiało uderza na nieprzyjaciela, konne pułki Bolesława zapuszczają się daleko w głąb Niemiec, szeroko pastoszą kraj nieprzyjacielski, uprowadzają tłumy jeńców i bogate łupy. W razie wtarnięcia nieprzyjaciół trzymają się Polacy systemu wojny odpornej; przekupieni przewodnicy długo oprowadzają wojska niemieckie przez moczary i bagna, w okolicach lesistych na przeciągających Niemców wszędzie czyhają zasadzki, nieustannie podjazdy w drobnych dutarczках nużą wojsko nieprzyjacielskie, w końcu brak żywności i groza ciągłych niespodziewanych napadów zmusza nieprzyjaciół do odwrotu. Na uchodzących ze wszech stron uderzają Polacy: powszechna klęska kończy wyprawę.

Przy ówczesnym braku środków komunikacyjnych i trudnościach w pochodzie licniejszego wojska podobny system wojowania zresztą wykonywany był świetnie, zapewniał powodzenie; ale nie tylko w ten sposób zwalczał Bolesław swoich przeciwników. Brzękiem złota, gościnnością i „słodką namową“ licznych jednak sobie stronników na dworze niemieckim, przez nich miewał dokładne wiadomości o najtajniejszych planach Henryka, przez swoich zwolenników wzniesiał zatargi i walki domowe w łonie samego cesarstwa i wybornie z tych walk umiał korzystać.

Po takiej charakterystyce stosunków Chrobrego do Niemiec streszcza autor powyżej przytoczonego dziełka historię wojen Bolesława z Czechami, na Rusi i w innych krajach sąsiednich.

Już w pierwszych latach swego panowania zdobył Bolesław Pomorze od Odry do Wisły i sąsiednich Prusaków zmusił do uległości. Po śmierci księcia czeskiego Bolesława Okrutnego odzyskał ziemie krakowską i zagarnął zatatrazańską Chrobacye. Po Bolesławie okrutnym objął rządy w Czechach Bolesław Rudy, dla swych przesładowań wkrótce przez poddanych znienawidzony. Chrobry uwolnił Czechów od ich okrutnego księcia i Czechy połączył z Polską. Ale Czesi, poduszczeni przez braci Bolesława Rudego, Jaromira i Oldrycha i poparci całą potęgą cesarstwa, wypędzili Polaków przenosząc zwierzchnictwo cesarza niemieckiego nad połączenie z Polską.

Z Rusią zostawał Bolesław przez długi czas w stosunkach ściślejszej przyjaźni; jedną ze swych córek wydał za Świętopełka, najstarszego syna w. księcia Kijowskiego Włodzimierza. Z księżniczką polską przybył na Ruś biskup Kołobrzesci Reinbern i usiłował rozszerzyć pomiędzy Rusinami obrządek katolicki. Te zabiegi oburzyły Włodzimierza; na jego rozkaz uwięziono Świętopełka

wraz z żoną i polskim biskupem. Wówczas przedsięwziął Chrobry pierwszą wyprawę na Ruś. W dwa lata później umarł Włodzimierz. Świętopełk jako najstarszy objął rządy, ale wkrótce wypędził go jeden z młodszych braci, Jarosław. Zięć Bolesława w Polskę szukał przytułku i pomocy. Bolesław z licznym wojskiem powtórnie wyruszył do ziemi ruskiej, zwyciężył Jarosława nad Bugiem i po krótkim obleżeniu zajął Kijów. Tutaj osadził na tronie wielkksiążęcym swojego zięcia i po 10-miesięcznych ucztach wrócił do Polski uprowadzając tłumy jeńców i bogate łupy. W powrocie powtórnie rozgromił pułki Jarosława i zdobył grody czerwieńskie przed czterdziestu laty przez Włodzimierza oderwane od Polski.

W drugiej połowie swej rozprawki daje nam autor obraz wewnętrznych stosunków w Polsce za Bolesława. Dzielny ten władzca starał się nie tylko pomnożyć potęgę narodu, ale zarazem podnieść oświatę, rozkrzewić światło wiary. W tym celu usilnie pracował, chcąc wykorzenić dawne zwyczaje, zabytki czasów pogańskich, sprowadzał z Włoch i Niemiec duchownych, liczne budował kościoły i klasztory. Obok kościołów wznosiły się warowne zamki, stare grody nowymi otaczały się murami. Wśród lasów na korczowiskach nowe powstawały osady. Żarliwość ludu wzrastała, gdyż Bolesław poddanych nie uciskał, a przeciw swawoli możnych i najbiedniejszy znalazł u niego obronę. Dla łatwiejszego zarządu i obrony kraju powznosił Bolesław liczne grody i zamki; w nich zbierały się pułki pancernych i tarczowników; tu składał lud okoliczny daniny; tutaj naczelnik grodu, kasztelan wymierzał w imieniu króla sprawiedliwość.

Bolesław lubił życie wesole i ruchliwe; wyprawy wojenne i pyszne biesiady zmieniając się kolejno zwykłym byt dlań zajęciem. Słynał z gościnności a niepospolitemi zaletami zyskał szczególną miłość całego narodu.

Oto treść rozprawki p. Mosbacha. Autor nie podaje tu żadnych faktów nieznanych, ani nowych poglądów. W pierwszej połowie daje charakterystykę stosunków Bolesława do krajów sąsiednich, trzymając się głównie badań Szajnochy, niekiedy parafrazując nawet ustępy z przedślicznej powieści niedawno zgasłego historyka. W drugiej połowie kreśli obraz stosunków wewnętrznych w Polsce za Chrobrego. Oprócz kilku porównań z stosunkami sąsiednich Niemiec streszcza p. M. poglądy Szajnochy i Roeppla, tem się głównie różniąc od swoich mistrzów, iż *jurans in verba magistri*, podaje jako rzeczy udowodnione ich przypuszczenia (jak n. p. o podziale Polski na Kasztelanie), które jakkolwiek umotywowane, są przecież tylko hipotezami. Dr. Alexander Hirsberg.

KORRESPONDENCYE.

Kraków, w Marecu.

(Kronika artystyczna. — Malarze Krakowscy. — Wystawa obrazów. — „Venus“ reklamowa. — Rzeźbiarze. — Muzyka. — Teatr. — Pomniki Krakowskie.)

Żadne miasto w Polsce nie sprzyja tak rozwojowi sztuk pięknych, jak Kraków. Wynika to z natury stosunków i potwierdzonem jest przez historię. Miasto pamiątek i pomników, gdzie całe dzieje zaklęte są w marmury po kościołach i w starożytne budowle, miasto wielkich tradycji radosnych i smutnych, miasto chwały i ruiny, które jest Panteonem przeszłości, a zarazem „arką przysięgi“ między dawną a przyszłą Polską — miasto to otoczone jest tą aureolą uroczystą, tą płodną atmosferą dla głębszych umysłów i podniosłych serc, że nie dziwne, iż piastuje ono zawsze w łonie swoim artystów, zasila ich ducha pożywną treścią i wysyła jako istną metropola

na wszystkie strony kraju, aby dawali świadectwo prawdziwe i pięknemu — i żywotności ducha narodowego. Tutaj dojrzewa w całym toku dziejów zarówno historia jak sztuka polska, poczynając od Długosza i Wita Stwosza.

Tej ruchliwości i rzutkości, które odznaczają Warszawę i Lwów, nigdy Kraków nienabędzie, nowe społeczeństwo, które go zaludnia, nie przemieni jego charakteru, ale raczej samo musi się dostrajać do tego poważnego tonu, jaki tutaj dzieje, tradycja i sztuka na całym życiu wyciskają. Nie winimy więc miasta trzech mogił o pewien zastój i nieruchomość, ale raczej wsłuchujemy się w tę jego ciszę pełną zawsze pracy i patrzymy za jej owocami.

Artystyczne pokłosie od kogoż zacząć jeżeli nie od Matejki, którego płótna noszą zawsze to genialne piętno wiekowej trwałości, jak marmury Stwosza. Od dwóch

lat pracuje on nad olbrzymim obrazem przedstawiającym Rzeczpospolitą u szczytu potęgi uosobionej w Batorym i Zamojskim. Scena w obozie po zwycięstwie pod Wielkimi Łukami, gdy poselstwo moskiewskie konwojowane przez jezuity Possewina przybywa od Jana Groźnego z prośbą o pokój. Dzisiaj muszę się ograniczyć na tej wzmiance, zanim obraz publicznie nie będzie wystawionym. Obok tej pracy wykończył Matejko kilka pomniejszych, a mianowicie portretów, z których jeden s. p. prof. Gilewskiego obecnie jest wystawiony. Nie przestaje też Matejko zasilać illustrowane pisma rysunkami, w których śmiałymi pociągami odtwarza ze starych pieczęci historyczne postacie. „Unię Lubelską“ zakupił w Londynie hr. Działyński za 40000 franków. Z rówieśników Matejki mało który jest obecnie w Krakowie. Kotsis, ten Lenartowicz malarstwa, Gryglewski, ten czarodziej perspektywy i poezji architektonicznej podróżują — z dawniejszych prac Gryglewskiego oglądamy na wystawie „Wnętrze kościoła Panny Maryi“ o którym słyszałem zdanie, że piękniejszym jest jak sam kościół. Izidor Jabłoński, specjalista w malarstwie religijnem, malarz kościoła Misyonarzy, odnowiciel bizantyńskiej kaplicy na zamku zamieszkał na uboczu, na Skałce, zkąd obrazami zasila kościoły galicyjskie, starając się wypłenić z nich częstochowskie bohemy. Innych artystów potrzeba nam szukać na wystawie. Pisałem wam już, że nepotycznie urządzone Tow. sztuk. pięk. zraziło sobie stanowczo najpierwszych naszych artystów z Matejką na czele. Zerwanie to oddziaływa nader niekorzystnie na wystawę, i jeżeli nie nastąpi gruntowna reforma Towarzystwa, upadek jego jest niechybny. Obrazy przybywają bardzo skąpo, publiczność zaczyna zapominać o wystawie, tak że towarzystwo chwytą się już sztucznych środków. Niemniej jednak niepożądane nikt odwiedzenia wystawy. Bo oto wiszą tam jeszcze: „Skarga“ Matejki, „Litwa“ Grottgera i kilka jego mniejszych a równie głębokich szkiców. Nadto do celniejszych obrazów, które tam znajdujemy należą Kozakiewicza: „Lekcja dziadunia“, który wnukowi objaśnia dzieje karabeli, Streita „Powrót po rodzinnej zagrody“ dwóch tułaczów-rycerzy, którzy ją zastają w ruinach — obraz rzewny, dobrze rysowany, zepsuty trochę monotonią tła, Simmlera śliczny portret panny młodej, Grabowskiego portrety o wybornej karnacji, Świrzyńskiego: Kaplica Lipskich, obraz nader prawidłowy, ale bez poezji światła właściwej Gryglewskiemu, Eliasza „Politycy“ — dobry pomysł, ale z mało typowości w osobach, Kaplińskiego portret charakterystyczny hetmana Chodkiewicza. Owym sztucznym środkiem, o którym wspominałem, było sprowadzenie okrzyczanej *Venus anadiomene*. Nie będę się o niej rozpisywał, gdyż w kronice wiedeńskiej umieściliście już sprawiedliwą jej ocenę. Dodam tylko, że szczegółów jest wiele tam pięknych — inne zbyt drobne, w całości brak wszelkiej samodzielnej fantazji, mdłe i jednostajne tło, nagości obliczone są na efekt u giełdowego świata w Wiedniu i w Berlinie — wcale jednak nie są poezją opromienione. Lecz ściągają ta Venus tłumy męskiej publiczności...

Rzeźba w Krakowie, która ucierpiała przez usunięcie się ztąd Filipiego i Gadowskiego — poczyną się znowu budzić. Przybył do nas Stattler i wykonuje obecnie popiersia Lelewela i Matejki, z młodszych wielkie robi postępy Eliasza (brat malarza) i Trembecki. Ostatniego grupa (oczywiście tylko odlew gipsowy) „Góral sprowadzający z góry po ścieżce dziewczynę“, jest prawdziwie piękna i zasługuje na rozpowszechnienie. Tutaj wypada też zapisać, że ołtarz drewniany Stwosza w kościele Panny Maryi zupełnie już odnowiony przez

Wakulskiego i zabezpieczony jest znowu na dalsze wieki przed zniszczeniem.

Oddział archeologii i sztuk pięk. Tow. nauk rozpoczął też już wydawnictwo pomników Krakowa w *fotodrukach*. Nowy ten wynalazek odda ogromne usługi sztuce. Zeszyt wydany obejmuje na 3 kartach ołtarz Stwosza, przepyszny nagrobek brązowy z kościoła Panny Maryi, ze zamku zaś grupy Wojciecha Glimma ze srebrnego ołtarza w kaplicy Zygmuntowskiej. Fotodruki te powinny być również na wystawach zawieszane — tam jest właściwe dla nich miejsce — a piszę to *ad usum* wystawy lwowskiej. Będzie to jedno z najwspanialszych polskich wydawnictw, które się rozejdzie po Europie.

Przechodzę do muzyki, która zwykle w czasie postu dzielniej się objawia. Mieliliśmy wspaniałe koncerty księżnej Marceliny Czartoryskiej, Bylickiego, pp. Kleczyńskich z Warszawy, co miesiąc bywa wieczór *Muzy*, kilkakrotnie w różnych rolach dawał się słyszeć p. Chodecki — tylko tutejsza szkoła śpiewu kościelnego i dramatycznego ani nawet we wielki Piątek znaku życia nie dała. Muza rozwija się widocznie i postępuje — dotąd jednak właściwego kierunku i charakteru sobie nie stworzyła. Programy wieczorów są macaniem na wszystkie strony. Słusznie miejscowa krytyka wskazuje Muzie, że zadaniem jej jest śpiew choralny, wyrobienie dobrych chórów i kwartetów... — warto pracować dla tego celu, a nie zrywać się na rzeczy wielkie i na solowe produkcje — tego bowiem wypracować nie można, ale trzeba czekać, aż się zdarzą solowe głosy.

Produkcje p. Chodeckiego są nowem poniekąd zjawiskiem: deklamacya i muzyka mają się tu nawzajem illustrować. Jest to zadanie nader trudne, Schuman za ledwie go próbował. Publiczności w ogóle podobał się p. Chodecki — słysząc go raz doznaje się silnego ataku na nerwy i bierze tę sensację za artystyczne wrażenie. P. Chodecki deklamuje przeważnie rzeczy liryczne — tu głos zwykły nie wystarcza — tu trzeba albo śpiewać — i pod wpływem akompaniamentu wpada też p. Ch. niby w śpiew — albo potrzeba deklamacyi dramatycznej z gestami i sceneryą. Pasaże i tryle przerywające wykrzykniki w żaden sposób harmonii wytwarzać nie mogą, jedno drugiemu przeszkadza — kilku takich ataków wytrzymać niepodobna. Jedynem polem dla takich produkcji może być epos, ballada, wygłaszane nie z towarzyszeniem muzyki ale z jej przygrywką — może naksztalt dawnych bardów. Minnesingerowie nie deklamowali, ale śpiewali. Pan Chodecki rozporządza potężnym głosem, uczuciem, ale użyć ich jeszcze nie umie — rzekłbym, że sobie jeszcze z natury swoich produkcji sam sprawy nie zdał. Uwagami temi radbym właśnie pobudzić jego estetyczną refleksję. Przed kilku laty deklamowała w Krakowie pani Modrzejewska „Piękną Jadzię“ (przekład Alfa) z muzyką Szumana — i ona nie wywarła głębszego wrażenia, — o tajemnicę tego niech jej zapyta p. Chodecki. A przecież ona deklamowała przy cudzym akompaniamencie. P. Chodecki zaś sam siedzi przy fortepianie — więc język kłamie głosowi, głos ręką, ręce fortepianowi — i z wszystkiego robi się tylko chaotyczna wrzawa i wszechstronne kłamstwo.

Na zakończenie nieco o teatrze. Tegoroczny repertuar jest świetnym — okazuje wyzwolenie się z pod despotyzmu Sardou i Dumasa, z mało jednak uwzględnia polskie utwory. Wykluczenia, o których wspomnieliście w Przeglądzie dramatycznym, stosują się bez wyjątku do Krakowskiego teatru. Jest to pierwotny grzech dyrekcji, który w znacznej części jest przyczyną małej dramatycznej produktyjności u nas. Zresztą repertuar składali: Molier (Skąpiec), Musset (*On ne badine pas*

avec l'amour) — Szekspir (Hamlet) — Schiller (Wallenstein) — Halm (Wildfeuer) — Weilen (Hrabia Horn) — Słowacki (Beatrice Cenci, Balladyna) — Bogustawski (Spazmy modne) — Mickiewicz (Konfederaci). Oto szereg imponujący — a jeżeli które przedstawienie nie dorównało dziełu, to przecież nie było sparodyowaniem a to już wielka rzecz. Obecnie utraciliśmy p. Ładnowskiego — kto go zastąpi? nie wiem — inne jednak role (prócz

kochanków) mają dobrą obsadę, gdyż i tu Kraków działa po swojemu — wytwarza artystów. Z młodszych wiele obiecują panna Urbanowicz, pp. Skąpski, Zboński... Lwowskiemu teatrowi życzę, iżby jako próbę sił swoich wystawił „Konfederatów” Mickiewicza; sztuka ta bowiem, ten olbrzymi fragment, winien być co roku kilka razy na polskich scenach dawany.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(„Otello”).

Silnemi były dusze i silnymi nerwy u ludzi w XVI wieku, dla których Michał Anioł malował „Sąd ostateczny”, a Szekspir pisał „Andronika” i „Otella”. Publiczność dzisiejsza przekarmiona drobnostkami scenicznymi, zdumiewa się, słupieje z grozy, ujrzawszy przed sobą taki wyuzdany orkan namiętności, takie postacie o kształtach Cyklopów, jak w „Otellu”. Nie mniej przeto czar ducha, zaklęty w tych formach, przemaga apatyę zrodzoną wrażeniami dnia, zdobywa przebojem duszę słuchacza, targa jego wewnętrznosciami, a słuchacz oddaje się w pokorze władztwu potężnego wrażenia, bo czuje intuicyjnie, że ulegając mu, wstępuje na wyżyny ludzkiego ducha. Taki już porządek rzeczy — wielkość nie kapituluje przed Pigmejczykami. Zdaje mi się, że trafnie nakreśliłem wrażenie, jakiemu ulegała publiczność na ostatnim przedstawieniu „Otella” (we środę d. 3. b. m.).

Nie mogąc tu pisać studium o tej tragedii, która ich już tyle wydała, ograniczę się tylko na rozbiór gry artystów, a może i tam znajdzie niejedną sposobność do rzucenia poglądów ogólnych.

Co to jest Otello? Pokróćce — jestto murzyn, który poślubił córkę weneckiego senatora, piękną Desdemonę, a uwierzywszy oszczerstwu Jagona, że go zdradziła, dusi ją w jej własnym łóżu... Oto szkielet — komuż historia ta nie wiadoma? sam nawet Szekspir układając zarys treści, nie silił się na wynalazek własnej fantazji, ale wziął pdwieść ze zbioru nowell Giralda Cinthio. Co tam jednak powieść?... Nie ona uczyniła z „Otella” utwór mistrzowski, ale rysunek charakterów i namiętności tu przedstawionych w takiej pełni i takim wykończeniu, jak nigdy już potem. Szekspir głęboko pojął i zupełnie oświadczył istotę tragiczności, a w „Otellu” dał nam może najprzedziwniejszy jej wzór poetyczny. Im postać bohatera jest zacniejszą, im moralny interes, który on przedstawia, jest wznioślejszym, tem bardziej wstrząsająca jest tragiczność z chwili, gdy bohater ten cierpi i upada. Natury tak z gruntu przewrotne i z wszelkiego moralnego poczucia wyzute, jak Franciszek Moor, Ryszard III, Mulej Hassan, Lady Makbet mniej budzą interesu dramatycznego i współczucia, bo zanadto mało pierwiastków ludzkich mają w sobie; ale w „Otellu” jednoczy się w dziwnie kunsztownem zespoleniu najczystsza ludzkość z najwyższem cierpieniem. A że wrażenie ztąd wydobyte byłoby nazbyt przytłaczającym dla cnotliwego widza, srogość położenia łagodzi się — Otello, ów „Tytan boleści”, popełnia zbrodnię a wtedy cierpienie jego przybiera już tylko formę expiacji. Śmierć Otella staje się tryumfem etyki wyższej po nad wszelką namiętność. I oto jest największe słowo tragiczności. Bohater szlachetny, wzniosły nawet, cierpi srodze — ale cierpi; bo srodze zawinił. A tak, jakimkolwiek wstętem przejmowała nas zbrodnia Otella, nikt nie powie, że to umysł nikczemny — nikt od jego zjawiska nie odwróci się z oburzeniem, a tylko ze współlucuciem. I cóż to za ironia losu wiąże się z ową tragicznością położenia! Otello mordując

żonę, którą posadza o wiarołomność, ludzi sam siebie że broni moralnego porządku świata, wiązań budowy społecznej, bo świętości małżeńskiego związku — a tymczasem ofiarą jego zemsty — Desdemonę — jest czystą, porządek moralny nie został nadwreżonym — aż przez niego.. Pojmujemy, jakiego ciosu doznać musiał gmach duchowy tego człowieka, który myśląc, że bronił najwyższych interesów ludzkości, sam stał się wyrzutkiem społeczeństwa. W tem przykrem złudzeniu siebie leży drugi powód głębokiej tragiczności w „Otellu”. Całą siłę poetyczną i piękność moralną czerpie on właśnie z energicznej obrony tego wyższego ładu, który widzi zdeptanym przez Desdemonę. Tak wspaniałe tło obyczajowe umiał podłożyć Szekspir pod brutalną namiętność murzyna, która bez niego nabrałaby cech zwierzęcych. Mniejsza o to, że Desdemonę jest czystą a Otello wierząc podszeptom Jagona, popełnia czyn nieusprawiedliwiony — to rzecz jego sumienia; ale sumienie publiczne widzi w nim istotę szlachetną, ulegającą tylko fatalizmowi wypadków i demonicznej sile własnej namiętności. Jest ten Otello znakomitym etykiem. i zna wieczyste prawo moralnego porządku, jak nikt drugi... Gdy mu się zdaje, że Desdemonę popełniła zbrodnię — zabija ją. gdy widzi, że sam popełnił zbrodnię — zabija siebie... Murzyn nie zna subtelnych kar na występki — nie jestto natura połowiczna, w środkach przebiegająca — przez świat kroczy, jak huragan... Rozumie tylko rolę sztyletów i jataganów. Tak to jednak namiętność Otella jest ulagodzona instynktem zacnym, drzemiacem na dnie jego duszy — postać Otella różnie tem bez miary, bo motywem czynów jego nie jest tylko tylko subiektywne poczucie, że jemu się stała krzywda, ale obiektywny pogląd na prawo wyższego ładu świata, które nakazuje każdemu człowiekowi karać zbrodnię — gdzie ona tylko się pokaże... Tyle słów powiedzieliśmy na to, aby obronić Otella przed trybunałem sumienia etycznego i poetycznego.

Dwa pierwiastki stanowią tło tego charakteru i wymagają uwypatnienia w grze — one to powinny przedziierać się przez każdy ton wyrzucony z piersi Otella, przez każdy ruch jego twarzy i postaci. Otello musi mieć cechę heroiczną człowieka, który siłą własnych zasług wyniósł się ponad gmin i dostąpił najwyższych zaszczytów w państwie — i cechę afrykańskiej natury, dzikiej niby a przecież ulagodzonej promieniem miłości ku Desdemonie. Prześliczny to kontrast... Otello, lew pustyni, owiany łagodnem tchnieniem uczucia ułaskawia się, chropawość jego wyglądu się, wewnętrzna burza nurtująca w nim ciągle usypia i cały charakter nabiera pewnego harmonijnego zaokrąglenia swych przedtem nazbyt szorstkich konturów... W miłości rozplywa się Otello, jednoczy duchowo z Desdemoną i ztąd to, gdy ją posadził o wiarołomność, istota jego cała się rozdwa, umysł wyrzuca się z równowagi i traci ochotę do życia, powtarzając cudownie skeptycyzm Hamleta. Otello musi więc być w pierwszym akcie łagodnym, a dopiero obudzenie się podejrzeń i wybuchająca zazdrość wznieca w nim

wszystkie drżące demony, wrodzona zapaleczliwość natury owłada go zupełnie, wyczerpuje fizycznie i duchowo, ognistą werwę jego fantazji uczyni kartą spłowiecia, przeprowadza do progu zbrodni — i gruchocze Dezdemone, Jaga, samego Otella — wszystko!... Spełnił się znowu wielki fakt moralny, w którym zwyciężyła prawda Boża...

Rolę Otella grał p. Bolesław Ładnowski. Pojęcie nasze tak zupełnie jest zgodnem z jego pojęciem tej roli, że krytyka tym razem musi być tylko scharakteryzowaniem całości stworzonej przez artystę — a nie polemiką. Tyle więc tylko powiemy że p. Ł. wystudował z drobnostkową subtelnością wszelkie fazy w rozwoju wewnętrznym Otella, wszystkie przejścia namietności powiązał ze sobą logiczną nicią, tak, że w oczach widza ta postać wychylała się z pierwszych półmroków, jak z mgły rannej, nabierała kolorytu i siły, rosła w olbrzymie kształty, i ani na chwilę nie ustąpiła z wyżyny, na której raz ją postawił artysta. Ani jedna scena nie była słabszą, a każda głęboko przemyślaną. Pierwiastkowy spokój i pewność siebie, szlachetna godność postaci przypominająca klasyczne modele greckich bohaterów, a potem ten cały przebieg wewnętrzny od pierwszej chwili, gdy podejrzenie zostało powziętem aż do zenitu namietności, w akcie 4tym fizyczne wyczerpanie się, pewna nawet, chociaż nie chorobliwa rzewność, przeplatana porywami wściekłości lub grotami szyderczych aforyzmów, a potem jeszcze jeden, ostatni przeblask heroizmu świadomego swej godności, gdy umiera — oto lekki szkic tego obrazu, który potężnie i wyraziście rozśnił p. Ł. Podziwienią godną jest estetyczna miara, jaką umie każdy krok swój nacechować, podziwienią godną mimiką twarzy, nastroj miedziannego głosu, chód ocieślały — no! i wszystko zresztą... Gdybyśmy bardzo zaczęli w szczegóły się wdawać, to możebyśmy prosili o jeszcze trochę więcej grandezzy heroicznej w pierwszym wystąpieniu, o więcej chropowatości w głosie (tylko w akcie I-ym), który brzmieć powinien jak wóz po grudzie jadący, o nadanie trochę jeszcze południowego żaru spojrzeń rzucającym na Dezdemone w chwilach rokosznego upojenia, o bardziej gorączkowe wygłoszenie zmyślonej powieści o chustce, którą Otello pragnął skończyć jak najhyżej, aby co prędzej odczytał wrażenie na twarzy Dezdemony — możebyśmy tego wszystkiego jeszcze pragnęli, ale sami wyznajemy, iż są

to już zadania nazbyt wygórowane w obec gry wspaniałej, skończonej, która miała w sobie takie np. chwile niezapomniane, jak scena z Dezdemoną, gdy żąda od niej chustki a nie otrzymawszy wychodzi z bezbrzeżną pogardą, łączącą w sobie najwyższej boleści.

P. Dobrzański (Jago) oparł swą grę na bardzo gruntownym studyum, ale zdaje nam się, że za jednostronnie pojął głębokie słowa krytyków niemieckich. Gdzie należało uwydatnić humor Jaga, płynący z własnego poczucia, że jest wirtuozem w przewrotności, gdzie należało oddać rubasność jego żołnierską, tam gra p. D. stała na wysokości zadania. W pierwszych nawet dwóch aktach to wystarczało... Bo Jago nie ma w sobie doprawdy diabelskiego pierwiastku, a staje się wieleniem szatana dopiero zbiegiem okoliczności, powikłaniem sytuacji, która przerzuciła mu głowę. Ale gdy raz Jago przekonał się, że rzecz idzie na seryo, że w duszy Otella rozpalil nieokiełznany wulkan, który może wszystko w krąg ogarnąć, uczuwa on także całą grozę sytuacji, owłada nim pewne drzenie wewnętrzne, niepokój o własną skórę płynący z niepewności, czy sytuację rozwiąże — humor jego staje się mniej swobodnym, a myśl więcej skupia i napręża... Popehnięty fatalizmem wypadków przez siebie wywołanych zrywa już z wszelkim skrupułem logiki i sumienia, a staje się — dyablem ludzkim. Tę stronę należy uwydatnić, bo inaczej cały ton roli jest niższym, a wśród powszechnej grozy tragicznej, która wybija swe piętno na wszystkich twarzach, Jago zachowuje, co jest nie-naturalnem, humor birbanta. Są sytuacje w życiu tak poważne, że nie się ich wpływowi nie oprze. Szatańskości było więc za mało w grze p. D., dlatego charakterystyka wydała się jednostronną, a miejsca, które w innym razie wywarłyby olbrzymie wrażenie, jak np. scena, gdy kładąc nogę na ciele omdlałego Otella, sztydzi zeń, w ten sposób, przeszły młodo i bez należytego uzasadnienia.

Pani Nowakowska (Dezdemona) wlała tyle łagodności i słodyczy, tyle heroizmu cierpienia w tę rolę, ile zadanie wymagało; w grze całej uderzał urok szlachetnej miary i spokoju, w którym się przejawiała głębia kochającej duszy. Na wielką pochwałę zasługuje wreszcie gra pp. Królikowskiego (Brabantio) i Woleńskiego (Kassio), który jednak może za często deklamuje.

Bronisław Zawadzki.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILIZOFIA. Wkrótce zacznie się drukować w Warszawie przekład głosnego dzieła Levesa: „*Historia filozofii*,” dokonany przez uczniów warsz. uniwersytetu.

LITERATURA. Filip Sulimierski zasłużony redaktor *Wędrowca*, wydał dzieło: „*Przegląd najnowszych plodów piśmiennictwa polskiego 1870—1871*.” Warszawa 1872. Jest to obrachunek zdobyczy umysłowych na polu naszego piśmiennictwa z ostatnich czasów. Każda gałąź znalazła tu swój dział odrębny, treściwie zestawiony; żałować tylko wypada, że autor, mając uwagę przeważnie zwróconą na ruch umysłowy w Królestwie, pominął niektóre ważniejsze prace, jakie pojawiły się w Galicji, w W. Ks. Poznańskiem lub za granicą. Nazwana książkę należy uważać tylko jako sumaryusz bibliograficzny bez głębszej wartości krytycznej, mimo to jednak odpowiada ona swemu celowi, dając świadectwo życia umysłowego w Polsce i wskazując tegoż wybitniejsze kierunki.

POEZJA. Dr. Albert Weiss przełożył na język niemiecki: „*Konrada Wallenroda*” (Berno 1872), Fr. Horn zaś „*Sonetu Krymskie*” (Berlin 1872). „*Konrada*” wydał również świeżo w przekładzie włoskim Archimedes Böttesini, o czem wspomina *Rivista europea*. — Czesi żywo zajmują się przekładami cennych utworów naszej literatury. Józef Frytz tłumaczy „*Irydyona*”, dr.

Zeman: „*Beniowski*” i „*Ojciec zadłumionych w El-Arisz*,” Słowackiego Kétitz, „*Listy*” i „*Noc letnią*” Krasieńskiego, Fr. Szlama przełożył zaś powieść Kraszewskiego „*Bezimienna*”.

NAUKI PRZYRODNICZE. Sidney Herbert Laing. *Wiedlegter Darwinismus. Über Mr. Darwins Theorie der Abstammung des Menschen.* Przekład z angielskiego. Lipsk 1872.

TEATR I SZTUKI PIĘKNE. W Krakowie wystąpił we Czwartek (d. 4. b. m.) p. Leszczyński, były artysta lwowski sceny w „*Otello*”. Czas bardzo podnosi jego głęboko wystudowaną grę, przypominającą czasami sławnego Ira Aldridge. Dziś zaś przedstawia także komedję Moliera: „*Świętoszek*,” w której wystąpi panna *Marya Kwietyńska* ze Lwowa. — W *nadw. teatrze wiedeńskim* przygotowują jeszcze w bieżącym sezonie przedstawienie poematycznych tragedji Grillparzera: „*Libussa*” i „*Żydówka z Toledo*.” — W *teatrze opery tamtejszej* już około 15. b. m. zapowiadają wystawienie nowej opery Rubinsteina „*Ferramors*”; główne partie są w rekach panny *Ehm* i pp. *Becka* i *Waltera*. — *Repertuar lwowskiego teatru na przyszłym tygodniu.* Niedziela: *Złoty*; Wtorek: *Halka*; Środa: *Szklanka wody*; Czwartek: *Pan Geldhab* — *Partya pikiety*; Sobota: *Faust*; Niedziela: *Poczwarka*.